

LAURIE FRANKEL

NA RAZIE ŻEGNAJ



Słodko-gorzka historia miłosna na miarę XXI wieku

Killer app*

Sam Elling wypełniał swój profil na internetowym portalu randkowym, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. Z jednej strony właśnie opisał siebie jako „zabawnego gościa” i odpowiedział na pytanie: „Jak bardzo jesteś męski?”, przyznając sobie osiem punktów na dziesięć. Z drugiej strony wszystko to było dość irytujące i Sam dobrze wiedział, że nie ma faceta, który oceniłby siebie na mniej niż osiem punktów. Teraz zastanawiał się nad pięcioma rzeczami, bez których nie może żyć. Wiedział, że wielu przyszłych randkowniców bezczelnie wymieniło: powietrze, jedzenie, wodę, dach nad głową plus coś odrobinę bardziej zabawnego. (Sam uważał, że szwajcarski ser będzie błyskotliwym dodatkiem do tej listy albo witamina D, choć odkąd zamieszkał w Seattle, całkiem dobrze radził sobie bez niej). Mógł postawić na nowoczesność — laptop, drugi laptop, tablet, połączenie Wi-Fi, iPhone — ale nie chciał wyjść na maniaka komputerowego. Nieważne, że nim był, po prostu nie chciał, żeby dziewczyny od razu to wiedziały. Mógł uderzyć w sentymentalną nutę — oprawione w ramkę zdjęcie ze ślubu rodziców, należący niegdyś do

* *Killer application* (w skrócie *killer app*) — żargonowe określenie programu komputerowego stanowiącego główną wartość szerszego zakresu technologii. Efektem popularności i popytu na program jest wzrost popytu na sprzęt o wiele droższy i niezbędny do uruchomienia tego programu.

dziadka szczęśliwy pens, program z gimnazjalnej inscenizacji *Grease*, której był niekwestionowaną gwiazdą, pisemne zawiadomienie o przyjęciu go do Massachusetts Institute of Technology, pierwsza i ostatnia składanka muzyczna, jaką kiedykolwiek dostał od dziewczyny — obawiał się jednak, że coś takiego zrujnuje jego wizerunek macho. Mógł też postawić na laktozę: znowu szwajcarski ser (nie wiadomo, dlaczego miał ochotę na szwajcarski ser), lody czekoladowe, serek śmietankowy, pizza z Pagliacci i podwójna latte. Jednak to również nie do końca była prawda. Mógł żyć bez wszystkich tych rzeczy, ale po prostu nie chciał.

To pytanie można było opisać pięcioma słowami: irytujące, wścibskie, przesłodzone, żenujące i bezsensowne. Nie miał żadnego hobby, bo cały czas pracował, przez co nie mógł znaleźć dziewczyny. Gdyby nie pracował (albo gdyby nie był inżynierem oprogramowania, a co za tym idzie, pracował z kobietami), miałby czas na zainteresowania, które mógłby wymienić, ale wówczas nie musiałby tego robić, bo żeby poznawać ludzi, nie potrzebowałby portali randkowych. Tak, był maniakiem komputerowym, ale był również — albo tak mu się wydawało — inteligentny, zabawny i całkiem przystojny. Po prostu nie miał pięciu hobby, tak jak nie potrafił wymienić pięciu błyskotliwych rzeczy, bez których nie może żyć, pięciu ciekawych przedmiotów, które trzyma na nocnym stoliku (odpowiedź zgodna z prawdą brzmiałaby: do połowy pełna szklanka wody, pełna w jednej czwartej szklanka wody, pusta szklanka po wodzie, zmięta chusteczka higieniczna i kolejna zmięta chusteczka), ani pięciu rzeczy, które chciałby zrobić w przyszłości (gdyby mógł, napisałby pięć razy, że ma nadzieję, iż nigdy więcej nie będzie musiał przechodzić przez coś takiego). Prawdę mówiąc, nie interesowały go pasje innych ludzi, ich potrzeby, to, co trzymali przy łóżkach, ani ich plany na przyszłość. Odpowiadał już na podobne bzdurne pytania na innym portalu, umawiał się na spotkania z dziewczynami, które tak

jak on szukały drugiej połowy, i wiedział, do czego cały ten nonsens zmierza. Do niczego. Wybierając te, które zdawały się twardo stąpać po ziemi (książki, przybory do pisania, lampka do czytania, zegar z radiem, komórka), po prostu się nudził. Te z pozoru ekscentryczne (żółty kapelusz przeciwdeszczowy, polaroid, woda sodowa o smaku limonki, zdjęcie Gertrude Stein, plastikowa figurka przewodniczącego Mao), okazywały się dziwne i zarozumiałe. Ta, która wyglądała na idealną („Tylko laptop, bo to jedyne, czego potrzeba mi do szczęścia”), okazywała się maniaczką komputerową tak podobną do jego współlokatora z college’u, że Sam zaczynał się zastanawiać, czy w tajemnicy przed nim nie poddał się operacji zmiany płci. Tak więc trzeba było wybierać między nudą, dziwactwem i Trevorem Andersonem.

Pięć rzeczy, bez których Sam nie wyobrażał sobie życia: sarkazm, drwina, pogarda, szyderstwo, cynizm.

Oczywiście to nie wszystko. Gdyby tak było, nie szukałby szczęścia na internetowych portalach randkowych, tylko zaszyłby się w suterenie w towarzystwie konsoli Xbox, Wii, PlayStation, pięćdziesięciodwucalowego ekranu plazmowego i nachosów z mikrofalówki. Tymczasem znowu się męczył. Czy samo to, że znalazł się w tym miejscu, nie powinno zwiastować czegoś dobrego w kwestii miłości? (Nadziei, radosnych okrzyków, ciepła, hojności, obietnicy, że pojawi się ktoś, kto będzie całował go na dobranoc). Możliwe, ale brzmiało zbyt tandetnie, by wpisywać to do głupiego formularza.

Problem z głupim formularzem nie polegał wyłącznie na tym, że ludzie nie pisali prawdy — chociaż oczywiście nie pisali. Chodziło o to, że człowiek nie mógł napisać prawdy, nawet jeśli chciał. Rzeczy leżące na nocnym stoliku nie obnażały czyjejś duszy. Nadzieje na przyszłość nie powinny być czymś, co wpisujemy do formularza i zdradzamy nieznanym. Zadania typu „uzupełnij luki” są zabawne, ale nie przesądzają o trwałości ewentualnego związku. (Chociaż,

prawdę powiedziawszy, wcale nie są takie zabawne). Nawet te, które wymagają jasnych, jednoznacznych odpowiedzi, nie mówią człowiekowi tego, co chciałby wiedzieć. Na przykład Sam pragnął umówić się z kobietą, która potrafiłaby i chciała gotować, i której sprawiałoby to przyjemność, ale było to niemożliwe, bo każda z nich okazywała się perfekcyjną panią domu z obsesją na punkcie porządku (Sam niespecjalnie dbał o porządek), wierzyła, że miejsce kobiety jest w kuchni, a jej rola ogranicza się do usługiwania mężczyźnie (Sam był feministą) i należała do ludzi, którzy jedzą wyłącznie organiczne, ekologiczne, wolne od wszelkiej chemii, surowe, wegańskie jedzenie od lokalnych producentów (patrz wyżej: zamiłowanie Sama do produktów mlecznych). Było to ważne, bo Sam nie potrafił gotować, a przecież oboje będą musieli coś jeść. W zamian mógłby wziąć na siebie któryś z domowych obowiązków: zmywanie naczyń, składanie ubrań, sprzątanie łazienki. W formularzu nie przewidziano jednak miejsca na takie rzeczy, podobnie jak nie było miejsca, gdzie mógłby napisać, że jest mężczyzną, dla którego takie dziwaczne drobiazgi mają znaczenie.

A jednak każdy człowiek ma swoje potrzeby. I to nie takie, o jakich myślicie. Cóż, takie też, ale dla Sama to nie one były najważniejsze. Dla Sama najważniejsze było to, by miał z kim pójść na kolację w piątkowy wieczór, przy kim mógłby obudzić się w sobotni poranek, wybrać się do muzeum, do kina, teatru, na imprezę, do restauracji i na mecz. Z kim w długi weekend mógłby wyjechać za miasto, chodzić na spacer, jeździć na nartach, odwiedzać rodziców, smakować wino i dzięki komu potrafiłby normalnie funkcjonować. Dla Sama, pracującego w tym samym internetowym biurze matrymonialnym, którego formularz nastroczał mu takich problemów, zwłaszcza to ostatnie było niezwykle istotne. Agencja zatrudniała wielu zarozumiałych, energicznych ludzi — w większości mężczyzn — którzy na eleganckich, wystawnych przyjęciach pojawiali się pod krawatem, w towarzystwie wielu innych

zarozumiałych, energicznych ludzi — w większości kobiet. Zanim Sam zaczął pracować w biurze, nigdy nie miał krawata. Nie był też ani zarozumiały, ani energiczny i wierzył, że bycie inżynierem oprogramowania pracującym w boksie, obok innych inżynierów oprogramowania w koszulkach matematycznych geniuszy, z figurkami ze *Star Treka* i kostkami Rubika, uwolni go od tego rodzaju stresów związanych z pracą. Jednak prawnicy, VIP-y, dyrektorzy finansowi i inwestorzy wszystko zepsuli. Poza tym pracował w internetowym biurze matrymonialnym, w miejscu, gdzie bycie singlem nie sprzyjało robieniu kariery. Sam spędzał takie wieczory wciśnięty w zbyt sztywny smoking, siląc się na żarty w towarzystwie innych samotnych inżynierów oprogramowania, sącząc wódkę z tonikiem i zamartwiając się, czy kiedykolwiek znajdzie prawdziwą miłość.

W liceum w Baltimore, gdy Holly Palentine zobaczyła w nim kogoś więcej niż tylko maniaka komputerowego, wejrzała w jego serce i na prywatce dała się zaprosić do tańca, a później na kolację i do kina. Kiedy popołudniami po szkole obściskiwali się w jego piwnicy, Sam był przekonany, że poślubi swoją młodzieńczą miłość. Pamiętał, jak trzymał ją w ramionach na wiosennej potańcówce i wyobrażał ich sobie w dniu ślubu. A potem Holly wysłała mu list z obozu skautek, na który pojechała jako opiekunka, z pytaniem, czy nadal mogą być przyjaciółmi. Nadal? Sam nie miał pojęcia, że kiedykolwiek w to wątpiła. W college'u na MIT próbował nocnych schadzki z koleżankami z akademika i tymi, które flirtowały z nim na imprezach, zakochał się do szaleństwa w dziewczynie pracującej jako baristka w *Shot Through the Heart* (choć nigdy nie odważył się z nią porozmawiać) i przez półtora roku trwał w prawdziwym, dojrzałym związku z Della Bassette, która po otrzymaniu dyplomu wyjechała na trzy lata do Zimbabwé jako wolontariuszka. Na kolejne półtora roku stracił głowę dla Jenny O'Dowd — kochała go i chciała spędzić z nim resztę życia, tyle że w ostatnim semestrze przed

ukończeniem college'u niechcący przespała się z jego współlokatorem. Dwa razy. Po tym wszystkim próbował być sam, jako że samotność rzadziej kończy się złamanym sercem i bólem, który rozdziera duszę. Starał się nie przejmować, nie ryzykować i nie szukać. Spędzał czas z kolegami, sam jeździł na wakacje, stawiał na rozwój osobisty, zrezygnował nawet z telewizji kablowej. Wszystko na nic. To, że nie był zakochany, rzeczywiście zmniejszało ryzyko cierpienia. Problem w tym, że Sam nie widział w tym żadnego sensu.

Nie widział sensu nie dlatego, że był jednym z tych ludzi, którzy zawsze, ale to zawsze muszą kogoś mieć, nie dlatego, że bez pary nie czuł się sobą, ani nie dlatego, że gdy się nie ma partnerki, trudno o seks, ale dlatego, że gdy nie spędzał czasu z ludźmi, których kochał, spędzał mnóstwo czasu z ludźmi, których nie kochał. Koledzy z pracy byli dobrzy w pracy, ale kiedy razem gdzieś wychodzili, nie mieli za bardzo o czym rozmawiać. Wypad do baru z przyjaciółmi, z którymi nie widział się od college'u, przypomniał mu, dlaczego nie chciał się z nimi widywać. Pogawędki na przyjęciach organizowanych przez znajomych przyjaciół oznaczały, że musiał udawać, iż interesują go rzeczy, które w rzeczywistości w ogóle go nie interesowały.

Gdy opuścił Wschodnie Wybrzeże i przeniósł się do Seattle, spróbował randek przez internet i nie mógł uwierzyć, że żyje na tym świecie przez trzydzieści dwa i pół roku i nigdy nie przyszło mu to do głowy. Sam wierzył w komputery i programowanie, w dające się zakodować informacje, algorytmy, liczby i logikę. Jego ojciec również był inżynierem oprogramowania, a także profesorem na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, więc Sam dorastał w przekonaniu, że komputery to jego religia. Wszyscy inni uważali internetowe randki za ostatnią deskę ratunku dla tych, którzy na studiach nie poznali nikogo interesującego. Tymczasem Sam je lubił, ponieważ nie było w nich tajemnicy. Może poznałby kiedyś dziewczynę, polubił ją, a ona polubiłaby jego, zaprzyjaźniliby

się, zaczęli spotykać, wszystko by szło jak należy i stawaliby się sobie coraz bliżej. W miarę upływu czasu odkryliby, że łączy ich coraz więcej, stopniowo zaczęliby budować swoje życie wokół tego drugiego, zakochaliby się w sobie, a mimo to, kiedy Sam wracałby na weekend do domu, nadal spałby ze swoim przyjacielem. Komputery nigdy nie zezwoliłyby na taką swobodę.

Czekał, aż internetowe serwisy randkowe zaczną działać na jego korzyść. Musiał jednak przyznać, że pieniądze, które na nich zarabiał, były całkiem niezłe. Jak się okazało, nie musiał czekać długo. Pewnego czerwcowego ranka, zbyt pięknego, by pójść do pracy, zespół Sama otrzymał wiadomość od szefa. *Uprzedzam*, napisał Jamie. *Zadanie zlecone nam przez Wielkiego Brata: skwantyfikować ludzkie serce*. Mówiąc o Wielkim Bracie, miał na myśli niezwykle ważnego prezesa zarządu, szefa swojego szefa. Sam kochał go za to. Wielki Brat wydał ostatnio rozporządzenie, że każdy zespół musi rozpocząć poranek od krótkiego spotkania na korytarzu, dzięki czemu firma nie będzie marnowała cennego czasu swoich genialnych programistów. W rzeczywistości spotkania trwały tyle co zawsze, z tą różnicą, że brakowało na nich krzeseł i ciastek z kruszonką. Dlatego Jamie nazywał je NN, co w teorii miało oznaczać „na nogach”, a w praktyce mówiło o tym, jak bardzo obolałe były nogi pracowników pod koniec zebrania. Za to również kochał Jamiego. I dlatego, że nie wariował na punkcie punktualności, dzięki czemu Sam miał czas, żeby wrócić do domu i zmienić buty na bardziej wygodne.

— Oto, jak wygląda sytuacja — zaczął Jamie, kiedy Sam dotarł do pracy. — Wielki Brat uważa, że potrzebujemy lepszych wyników końcowych. Niektóre serwisy randkowe oferują „najbardziej udane randki”. Inne chwala się „najwyższą skutecznością, o czym świadczy liczba zawieranych małżeństw”. Wielki Brat chce podnieść stawkę. Zbyt dużo randek kończy się niepowodzeniem. Zbyt dużo małżeństw

kończy się rozwodem. Co może być lepszego od umawiania się na randki i małżeństwa?

— Przyjaciele, z którymi można pójść do łóżka? — podsunął Nigel z Australii.

— Bratnie dusze — odparł Jamie. — Wielki Brat chce, żebyście wymyślili algorytm, dzięki któremu znajdziecie swoją drugą połowę. Dlatego zwracam się do was. Miłość to podstępna rzecz. Ludzie są różni. Dusza nie kieruje się logiką. Serce chce tego, czego chce. Trudno to określić. Trudno to zmierzyć i zaprogramować. Ale jesteśmy programistami i taką mamy pracę. Tak więc musimy to zrobić. Powiedzcie mi tylko jak.

— Trzeba zwiększyć szanse na pójście do łóżka — powiedział Nigel. — Udane, luźne randki o wiele częściej kończą się w łóżku. Im dalej posuniesz się na pierwszej randce, tym szybciej dowiesz się, czy pasujecie do siebie w sypialni.

— To nie przejdzie — uznał Rajiv z Delhi. — Randki są do niczego. — W tej kwestii inżynierowie oprogramowania, z wyjątkiem Nigela, byli zgodni.

— To nie jest śmieszne — stwierdził Gaurav z Bombaju.

— I bardzo niezręczne — dodał Arnab z Assamu.

— To wszystko kłamstwa — orzekł Jayaraj z Madrasu. Delhi, Assam, Maharasztra, Tamilnad i Bengal Zachodni — pięć indyjskich stanów, w których Sam został prawdziwym ekspertem, odkąd zaczął pracować jako inżynier oprogramowania. — Na randce człowiek wypada znacznie gorzej niż w rzeczywistości — tłumaczył Jayaraj. — Nie potrafi sklecić dwóch zdań, żeby nie gadać jak idiota. Jąka się, rozmawia na bzdurne tematy i robi z siebie durnia. W prawdziwym życiu wszystko wygląda inaczej.

— Albo usilnie stara się, żeby wyglądać lepiej niż w rzeczywistości — dodał Sam. — Co również jest kłamstwem. Stroimy się, czesemy i malujemy, a tak naprawdę całymi dniami snujemy się po domu w dresie i ze spiętymi włosami.

— Malujemy? — spytał Jamie, unosząc brwi.

— Ze spiętymi włosami? — zdziwił się Jayaraj.

— Potrzebujemy osoby postronnej — oznajmił Arnab. — Jak hinduscy astrologowie, którzy od pokoleń znają wszystkich mieszkańców wioski i dlatego małżeństwa, które aranżują przy narodzinach dziecka, trwają aż do śmierci.

— W wielu kulturach są swatki. Japończycy mają nakodo. Żydzi szadchanów. — Gaurav ukończył antropologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz. — To profesja znana od wieków. Swaci mówią prawdę.

— Jaką prawdę? — chciał wiedzieć Jamie.

— To, jacy się sobie wydajemy, i to, czego wydaje się nam, że pragniemy, nie określa, jacy naprawdę jesteśmy i czego pożądamy — odparł mądrze Gaurav. — Członkowie starszyny, mędrzy, którzy czasami używają magii, kojarzą małżeństwa na podstawie tego, kim naprawdę jesteśmy i kto byłby dla nas odpowiednią parą.

— Tyle że nie mamy do dyspozycji mędrców, którzy na dodatek potrafią czarować — zauważył Jamie.

— Nie, macie coś lepszego — oznajmił Sam. — Programistów komputerowych. Moglibyśmy poszperać w danych dostarczanych nam przez użytkowników. Przyjrzeć się temu, co o nich mówią, zamiast temu, co oni sami mówią o sobie.

Zaczynały boleć ich nogi, więc pójście za ciosem wydawało się rozsądne.

— Zarzucenie użytkownikom kłamstwa. Jestem pewny, że Wielkiemu Bratu to się spodoba — podsumował Jamie.

W drodze do biurka Sam zatrzymał się na kawę. (Pięć miejsc w zasięgu dwustu metrów od jego biurka, tylko po to, żeby napić się bajecznie dobrej, podwójnej latte. Espresso można było kupić na drugim piętrze, na czternastym piętrze, w stołówce, w barze kawowym w holu przy wejściu od strony Piątej Alei, a także w barze kawowym w holu przy wejściu od strony Czwartej Alei. Sam uwielbiał Seattle). W końcu usiadł i zaczął się zastanawiać, gdzie, jeśli nie w formularzach

internetowych portali randkowych, ludzie piszą prawdę na swój temat. Jakiś czas potem wysłał Jamiemu wiadomość:

Czy mogę mieć dostęp do dokumentacji finansowej klientów?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast:

Zarzucenie użytkownikom kłamstwa i pogwałcenie ich prywatności. Wielki Brat będzie zachwycony.

Pierwszy niezbity dowód na to, że użytkownicy kłamią na swój temat: wszyscy zamartwiają się o bezpieczeństwo w sieci, ale wystarczy obiecać im, że znajdą miłość, albo przynajmniej będą mieli okazję pójść z kimś do łóżka, a bez zastanowienia wyrażą zgodę na dostęp do dokumentacji finansowej, wyciągów z kart kredytowych, kont e-mailowych i innych danych, tylko dlatego że ktoś ładnie poprosił. Dopiero wtedy Sam zobaczył ich takimi, jacy są naprawdę, a nie ludźmi, których udają. W formularzach pisali, że ich pięć ulubionych dań to: organiczne borówki, koktajl z zielonych pędów pszenicy, czerwona komosa ryżowa, tempeh i kawior z białugi, choć w ubiegłym roku wydawali na jedzenie czterdzieści siedem dolarów czterdzieści centów miesięcznie i zwykle kupowali w 7-Eleven. Zobaczył, że pięć rzeczy, które zwykle trzymają na nocnym stoliku, to DVD z zagranicznymi filmami, jednak dwa razy byli w kinie na *Shrek Forever* w 3-D i spędzili tydzień na festiwalu filmów zagranicznych, bawiąc się z kumplami z college'u na farmie kumpla w Wyoming. Twierdzili, że lubią pisać wiersze i opowiadania, i od czasu do czasu zamieszczali na swoim profilu cytaty z *Uliksesa*, ale Sam analizował ich wiadomości i wiedział, że należą do dwunastu procent ludzi, którzy najrzadziej używają przymiotników i nie mają pojęcia, gdzie wstawić średnik. Wszyscy kłamali. Nie były to kłamstwa złośliwe ani zamierzone. Ci ludzie nie tyle błędnie interpretowali samych

siebie, ile najwyczejniej w świecie się mylili. To, w jaki sposób o sobie pisali, a jacy byli w rzeczywistości — to były dwie zupełnie różne rzeczy.

Tak, Sam był romantykiem, ale był również inżynierem oprogramowania, a ponieważ to drugie wychodziło mu znacznie lepiej, postanowił to wykorzystać. Przez kolejne dwa tygodnie obsesyjnie pracował nad algorytmem, który ustalał, jaki ktoś jest naprawdę. Ignorował formularze wypełniane przez użytkowników i skupiał się na tym, ile wydawali pieniądze, na wyciągach z kont bankowych i e-mailach. Przeglądał historie rozmów, SMS-ów i postów oraz aktualizacje statusów. Czytał ich blogi i to, co pisali na blogach innych ludzi. Rejestrował, co kupowali przez internet, co czytali, czego konsekwentnie unikali w sieci. Ignorował to, kim twierdzili, że są, i jakiej osoby szukają, skupiając się na tym, kim są naprawdę i kogo tak naprawdę pragną znaleźć. Sam połączył starożytne tradycje swatów z prawdą o użytkownikach, do której oni sami nie chcieli się przyznać, i potęgą współczesnych procesorów i stworzył algorytm, który odmienił świat internetowych randek. Sam złamał kod do ludzkich serc.

Jego koledzy byli pod wrażeniem. Jamie był zadowolony. A Wielki Brat nie posiadał się ze szczęścia, zwłaszcza gdy zobaczył dowód w postaci prezentacji i przekonał się, jak niewiarygodnie cudownie to działa.

— Znajdziemy wam bratnią duszę! — zachwycał się. — To wszystko, czego nam trzeba. Ta aplikacja to prawdziwy strzał w dziesiątkę!

Dziewczyna z sąsiedztwa

Sam uznał, że najlepiej będzie, jeśli wypróbuje aplikację na sobie. Chciał wiedzieć, czy zadziała. Chciał udowodnić, że zadziała. Jednak przede wszystkim chciał, żeby zadziałała. Żeby przeszukała cały świat i niczym boski palec wskazała tę jedną jedyną, mówiąc: „Oto ona”. Jak skuteczny jest jego algorytm? Za pierwszym razem zeswatał Sama z Meredith Maxwell, pracującą obok w dziale marketingu. W tej samej firmie. Na pierwszą randkę umówili się na lunch w firmowej stołówce. Kiedy wysiadł z windy, Meredith stała oparta o futrynę i uśmiechała się do niego. Siłą rzeczy on również się uśmiechnął.

— Meredith Maxwell — przedstawiła się, potrząsając jego ręką. — Przyjaciele mówią do mnie Max.

— Nie Merde? * — spytał z niedowierzaniem i natychmiast przeraził się swoich słów. Kto żartuje w ten sposób, pretensjonalny, skatologiczny i francuski, na pierwszej randce? Poczul się zakłopotany, odpychający i obrzydliwy.

O dziwo, Meredith Maxwell wybuchnęła śmiechem.

— *Je crois que tu es le premier***.

Zupełnie jakby wydarzył się cud. Uznała, że to zabawne.

* *Merde* (franc.) — gównno.

** *Je crois...* (franc.) — Sądzę, że jesteś pierwszy.

Uznała, że Sam jest zabawny. Ale to nie był cud. To była informatyka.

— Gdzie nauczyłaś się francuskiego? — Gdy usiedli w ustronnym kącie i postawili przed sobą tace z lunchem, Sam nieco ochłonął.

— Spędziłam rok w college'u w Brugii. Uczyłam się też flamandzkiego.

— Pewnie się przydaje.

— Rzadziej, niż sądzisz. Jedyne stworzenia, do których mówię po flamandzku, to moje psy.

— Masz psy?

— Snowy i Milou.

— Nazwałaś psy imionami bohaterów belgijskiego komiksu?

— Belgijskiego komiksu i jego angielskiego przekładu — sprecyzowała Meredith Maxwell.

Sam był sobą zachwycony. Mimo iż na swoim profilu Meredith ani słowem nie wspomniała o imionach psów, a Sam nie napisał ani słowa o swojej dziecięcej obsesji na punkcie *Tintina*, stworzył algorytm, który o wszystkim wiedział. Jest geniuszem. Tymczasem Meredith Maxwell okazała się piękna, zabawna i najwyraźniej inteligentna, miała trzydzieści cztery lata (Sam lubił starsze kobiety, nawet jeśli były starsze tylko o siedem miesięcy), jeździła po świecie, była poliglotką, kochała psy, lubiła sprzedawane w stołówce lody truskawkowe i miała skórę, która pachniała morzem.

— Było miło — rzuciła, kiedy oboje sprząтали ze stołu, ale nie wydawała się przekonana.

— Spotkamy się znowu? — spytał.

— Może nie w pracy? — Zauważył, że nie odmówiła, ale nie brzmiało to również w stylu oczywście-nie-zadawaj-głupich-pytań. Czy nie było tak miło, jak mu się wydawało? Czy ich spotkanie wyglądało dobrze na papierze (właściwie na wykresie), ale nie w rzeczywistości? A może — ta myśl przerażała go najbardziej — Meredith

naprawdę jest jego drugą połową, jedyną duszą na ziemi, która jest mu przeznaczona, a program przez niego stworzony przeczesał całą ludzkość, by znaleźć mu partnerkę... której nie przypadł do gustu? Rozpaczliwie myślał o udanych pierwszych randkach. Czyżby oszalał? Firmowa stołówka z pewnością nie robiła dobrego pierwszego wrażenia. Ale to nie powinno się liczyć. Musiał ratować sytuację.

— Zjedźmy kolację w jakimś wyjątkowym miejscu — zaproponował.

— Dobrze.

— Może w... Canlis? Campagne? Rover's? — wymieniał kolejne drogie restauracje, choć nigdy w żadnej z nich nie był. — Możemy popłynąć klipem do Victorii. Kanada jest bardzo romantyczna.

— Na łodziach wymiotuję — wyznała Meredith.

— To może pójdziemy do tej restauracji na szczycie Space Needle?

— Lubisz baseball? — spytała.

Sam wstrzymał oddech. Czy to jest podchwytliwe pytanie?

— Tak — odpowiedział.

— Więc może zjemy kolację na stadionie baseballowym? W sobotę wieczorem? Hot dogi i mecz? Może będzie fajniej.

. . .

Mecz był fajny. Kolacja też. Trochę bardziej swobodna niż te proponowane przez Sama, ale w realiach Seattle nadal uchodziła za wymyślną. Podobnie jak mecz wybrany przez Meredith. Pytania, którymi zasypała go po kolacji, przypominały egzamin z angielskiego, choć Sam czuł większą presję (nic dziwnego, skoro i stawka była wyższa). Tak samo było z koreańskim horrorem w kinie za trzy dolary i trwającą cały dzień wycieczką w góry Hurricane Ridge. Mimo to nie od razu między nimi zaiskrzyło.

— Nie mogę oprzeć się wrażeniu — zaczęła Meredith po tym, gdy oboje wzięli prysznic (każde osobno), wysuszyli

włosy i siedzieli na podłodze w salonie w jej mieszkaniu, przy czerwonym winie, świecach i tajskim jedzeniu na wynos — że jeszcze mnie nie pocałowałaś.

— Nie? — Sam udał zdziwienie.

— Nie.

— Cóż za dziwne przeoczenie. Jak sądzisz, dlaczego?

— Może dlatego, że mnie nie lubisz?

— Chyba jednak nie o to chodzi.

— Może mnie lubisz, ale uważasz, że jestem paskudna?

— To chyba też nie to. — Przysunął się do niej.

— Może wszystko przez to, że jesteś kiepskim programistą i algorytm, który wymyśliłeś, nie działa, a my w ogóle do siebie nie pasujemy. Tworzymy gównianą parę, urodziliśmy się pod nieszczęśliwą gwiazdą, mamy pecha i między nami nie ma żadnej chemii.

— Jestem genialnym programistą — zapewnił Sam.

— A może się boisz? — droczyła się z nim Meredith.

— Czego?

— Odrzucenia.

— Nie sądzę. A może to ty się boisz?

— Ja?

— Tak, ty. — Sam przysunął się jeszcze bliżej. — Może to ty boisz się mnie pocałować? Może jesteś tchórzem i na samą myśl o pocałunku trzęsiesz się jak osika?

— Co to w ogóle znaczy? — prychnęła. — Jakbym była drzewem? Małą dziewczynką? Jakby wszystkie emocje sprowadzały się do świata roślin?

— Bo tak jest. No wiesz, silny jak dąb, zakochany w sobie jak narcyz — mruknął nastrojowo Sam. — Brak ci odwagi, więc drzysz jak osika i wmawiasz sobie, że nie chcesz mnie pocałować.

— Znasz się na rzeczy, Samie.

— To źle? — spytał, prostując się. Patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek i tak bardzo pochylał się w jej stronę, że zaczęło mu się kręcić w głowie.

Nie odpowiedziała od razu.

— Lubię mądrych mężczyzn, ale im mniej rozmawiamy o roślinach przed pierwszym pocałunkiem, tym lepiej.

— Nie wiedziałem, że tak to wyjdzie.

— Cóż, wygląda więc na to, że nie wiesz wszystkiego.

Czy to ona go pocałowała, czy może on pocałował ją? Może byli tak blisko siebie, że kolejny wdech połączył ich usta, a może to oszalone serce Sama pchnęło go w jej stronę? Czy to było przeznaczenie? Zgodność? Chemia? A może informatyka? Sam przestał się tym przejmować. Przestał o tym myśleć. Zapomniał o bożym świecie.

Całowali się przez chwilę, a gdy przestali, siedzieli w milczeniu, wsłuchani w swoje przyspieszone oddechy. Mieszkanie Meredith ozdabiały zwisające z sufitu modele samolotów. Ich cienie, rozedrgane w świetle świec, sprawiły, że Sam miał wrażenie, iż unosi się w powietrzu. A może powód był inny.

— To było miłe — odezwała się Meredith. — Dlaczego potrzebowałeś aż tyle czasu?

— Dlaczego ty potrzebowałaś aż tyle czasu? — odparł beztrosko. Próbował wrócić do rozmowy o tchórze i osice, czekając, aż jego szalejące serce wreszcie się uspokoi. Zamiast tego powiedział szczerze: — Wydaje mi się... To znaczy... jestem pewny, że to będzie mój ostatni pierwszy pocałunek. Chciałem się nim rozkoszować.

— I jak było?

— Zapomniałem — wyznał, na co odpowiedziała szczerym uśmiechem. — Pozwól, że spróbuję jeszcze raz.